



PTPN liczy obecnie ponad 1100 członków, która to liczba pozostaje w ciągu kilkunastu lat na tym samym poziomie. 70% jego członków to profesorowie, nieco słabiej przedstawia się rekrutacja nowych, młodszych członków. Posiada siedem wydziałów, na każdym z nich funkcjonują co najmniej dwie komisje (najwięcej ich jest na Wydziale Historii i Nauk Społecznych). Organizują one do kilku spotkań rocznie, zazwyczaj jednak we własnym gronie (wyjątkiem były najczęściej konferencje Komisji Polonistycznej), toteż szanse na spotkanie przedstawicieli różnych dyscyplin nie są – jak się wydaje – w pełni wykorzystane, a jedyną okazję na szersze interdyscyplinarne spotkanie stwarza doroczne zebranie plenarne.

Własnej działalności badawczej PTPN w zasadzie nie prowadzi. Druga z podstawowych funkcji – organizacja konferencji i spotkań – jest realizowana, choć podlega ogólnym spadkowym tendencjom. Towarzystwo poznańskie jest jednak w stosunkowo dobrej sytuacji. Dzięki swoim historycznym mecenasom PTPN dysponuje własnym majątkiem, jest też właścicielem pięknej i znakomicie położonej kamienicy (z jednym z najładniejszych dziedzińców w Poznaniu, na którym stoi replika pierwszego w mieście pomnika Adama Mickiewicza); kamienicy, którą udało się rewindykować po 1989 roku i którą Towarzystwo obecnie częściowo wynajmuje.

Znakomicie działa zwłaszcza wydawnictwo i biblioteka Towarzystwa. Wydawnictwo, współfinansowane z dochodów własnych, jest dla autorów tanie i przez to konkurencyjne. Opublikowało liczne, dobre naukowo oraz popularne pozycje. Biblioteka, posiadająca 350 000 woluminów, w tym 15 000 starodruków od XV do XVIII wieku, i mająca elektroniczny katalog, uznawana jest za jedną z najprzystajniejszych w mieście, a liczba czytelników, choć podlega ogólnej tendencji zniżkowej, spada jednak w mniejszym stopniu niż w innych bibliotekach. Czytelnikami są przy tym w znacznym stopniu ludzie młodzi, dzięki czemu tradycje Towarzystwa docierają do kolejnych pokoleń.

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk dzieli generalnie los z innymi regionalnymi towarzystwami naukowymi i stoi przed takimi samymi wyzwaniami. Ma jednak swoje własne, dodatkowe atuty. Ma wspaniałe historyczne tradycje i choć częściowo ogrzewa się w słońcu dawnej chwały, to dzięki spotkaniom, wydawnictwu i bibliotece ma swoje dość poczesne miejsce we współczesnym naukowym i kulturalnym życiu Poznania.

MAREK ZIÓŁKOWSKI

Wyższe szkoły prywatne?

JAN PROKOP

Estote milites, todos, todos „Bądźcie rycerzami wszyscy, wszyscy” – miał krzyknąć wystraszony cesarz, Karol V, gdy po bitwie pod Pawią (1525) zobaczył cisnący się do niego tłum kandydatów. Groziło mu to własnoręcznym przepuszczaniem przez skomplikowany rytuał pasowania tysiąca chętnych. Czy wszyscy muszą być magistrami? – oto pytanie dzisiaj na progu III tysiąclecia.

W latach dziewięćdziesiątych zaczęły u nas masowo powstawać niepaństwowe szkoły wyższe. Złamanie państwowego monopolu na naukę i nauczanie z pewnością zasługuje na pochwałę. Budzi też nadzieję na pluralizm: oto rozmaitość dróg, którymi szukamy prawdy, nauczamy rozmaitych umiejętności. Każdy cieszył się też, gdy media, wydawnictwa, w ogóle rozpowszechnianie kultury wyknęto się spod PRL-owskiego nadzoru.

Czy dzisiaj nadzieje i radość z tego, że imponderabilia weszły na wolny rynek, pozostają niezmacone, bez skazy?

Warto tutaj o tym wszystkim porozmawiać *sine ira et studio*, czyli o niepokojach spokojnie. Jakie są te niepokoje? Po pierwsze – komercjalizacja. Wykształcenie, edukacja (owe imponderabilia?) stały się *towarem*, który sprzedajemy. Towarem – co jasne – sprzedawanym *temu, kto zapłaci*. Nauka i nauczanie utraciły więc przymiot bezinteresowności? Przynoszą dochód? Jak firma handlowa?

Otóż jeśli zdobywanie *wiedzy* traktujemy wyłącznie w kategoriach zdobywania *zawodu*, zawodu zapewniającego przyzwoity poziom życia, to wszystko w porządku. Mamy prawo myśleć w tych kategoriach. Uczyć się, żeby dobrze zarabiać? Proszę bardzo, nie każdy chce być Judymem. Bill Readings (*The University in Ruins*) wprowadzie ubolewał, że uniwersytety stały się zwykłą szkółką dostarczającą fachowców na zamówienie wielkich korporacji, przemysłu etc. Cóż, szkółki też są potrzebne – myślimy pragmatycznie.





Kłopot, że w takich okolicznościach (komercjalizacja) degeneruje się samo nauczanie. Prywatne przedsiębiorstwo, jakim jest szkoła niepubliczna, dość łatwo zeszługuje się do poziomu baru mlecznego czy zakładu naprawiającego pralki i lodówki. Nastawienie na zysk każe szukać klientów za wszelką cenę, czyli gromadzić jak największą liczbę studentów najprostszym sposobem. A więc obietnicą dyplomu (tj. magisterium) otrzymywanego *mnijszym wysiłkiem* niż w firmie u sąsiada?

Klient płaci, klient wymaga? Szkopuł w tym, że klient wprawdzie otrzyma ważny dyplom, ale niekoniecznie potrzebne kompetencje, zwyczajowo(?) z dyplomem związane. Są to niestety często (częściej?) puste dyplomy. Podróbka, felerny towar sprzedawany jako towar pełnowartościowy? Ów bar mleczny źle nas karmi, zakład naprawczy te pralki i lodówki po prostu źle naprawia?

Trzeba dodać, że wygodną ścieżką *bylejakości* pobeigną również uczelnie państwowe. Ich komercjalizacja dokonywałaby się w jeszcze bardziej przyspieszonym tempie? Państwo oszczędza na wszystkim, niech sobie rektorzy i senat radzą samodzielnie, zarabiając na zacocznych, odpłatnych studiach etc.

Wolno sądzić, że wspomniany już pragmatyzm, sam w sobie, a więc *skuteczność* wykształcenia przekładająca się na szanse zawodowe, na znalezienie dobrej pracy, to wszystko OK. Pełna zgoda! Młodzi ludzie chcą żyć dostatnio, na przyzwoitym poziomie. Szkoła ma ich nauczyć zawodu, który zapewni chleb, nawet z masłem?

Pytanie: nauczyć czy dać ową magiczną pieczęć na dyplomie? Dyplomie niestety nieraz *poświadczającym nieprawdę?* Gdyż tymczasem wdepnęliśmy w szarą strefę? Wdepnęliśmy, bo było to korzystne dla setek (tysięcy?) profesorów *państwowych?* Ci otrzymywali głodowe(?) pensje i chcieli sobie dorobić na boku? Jeżdżąc po całym kraju – na *głuchą prowincję* – z *kagankiem oświaty* w rękę? Ale i dla setek tysięcy młodych, nie zawsze skłonnych posiedzieć nad książką do północy? Za to chcących pochwalić się tytułem, zaimponować sąsiadom, pomachać pracodawcy dyplomem z pieczęciami: dziś wszyscy muszą być magistrami?

A więc wybierających najchętniej tzw. studia zaoczne? Te polegają na nauce *plywania bez wchodzenia do basenu* albo nauce *gry na fortepianie bez fortepianu?* Studia zaoczne, niestychanie u nas rozrosło za bezmyślnym przyzwoleniem bezmyślnych decydentów (ministrów etc.), są w istocie prostym oszustwem, bowiem (za spore pieniądze) obiecują osobom już ciężko pracującym zarobkowo to, czego z samej swojej natury dać nie mogą. Jako droga na przelaj, droga na skrót do dyplomu. Do magisterium, które, w istocie, wymaga pełnego zaangażowania, solidnej, kilkuletniej (parę tysięcy godzin wykładów, ćwiczeń, seminariów!) nauki. Co więcej, stało się dzisiaj (magisterium) nie wiadomo czemu, niemal *magicznym* wyróżnikiem/niezbędnikiem (*shibboleth*, mówią Żydzi i Amerykanie), by prawidłowo funkcjonować w nowoczesnym świecie. Podczas gdy, tak na zdrowy rozsądek, możemy mieć całkiem udane, godne życie, budzić szacunek bliźnich i wdzięczną pamięć potomnych bez żadnych tego typu uprawnień/oznak osobistej próżności. Prawo jazdy czy *cash pay* jest rzeczywiście niezbędne, ale magisterium?

*

Jak z tego bajorka wybrnąć? Czy wyraźnie rozgraniczyć studia uniwersyteckie i studia zawodowe? Te ostatnie – czujnie zorientowane na dynamikę rynku pracy – szkoliłyby w rozmaitych, aktualnie poszukiwanych specjalnościach. Choć zapewne w dość wąskim zakresie. Ale uzyskany dyplom pozwalałby znaleźć godziwie wynagradzaną pracę. Byłyby jednak pod nadzorem?

To znaczy: same studia zawodowe niech będą prywatne, jak dotąd – proszę bardzo. Niech istnieją szkoły prywatne, niech powstają dynamicznie na *głuchej prowincji*, w wielu mniejszych miastach, gdzie czeka młodzież chętna do nauki na różnych kierunkach, a bez szans (finansowych etc.) przeniesienia się do większych ośrodków. Wszelako sam *egzamin dyplomowy* byłby egzaminem pod ścisłą kontrolą. Egzaminem *państwowym, komisyjnym* – podkreślam, odbywającym się *eksterytorialnie*, poza uczelnią. Może *konkursowym*, nawet z kolejnością zdających, od pierwszego miejsca do ostatniego? W każdym razie egzaminem autentycznie i pedantycznie sprawdzającym rzeczywiste umiejętności studenta. Rodzajem niemieckiego *Gesamtprüfung*. Trwającym nie 15 minut, lecz rozciągniętym na dwa, trzy dni, jak dawne matury? Dopiero taki egzamin przynosiłby *ważny dyplom* (tj. uznawany oficjalnie), np. *licencjat* z określonej dziedziny?

Choć do tego trudnego sprawdzianu przygotowywałaby, powtarzam, szkoła prywatna. Oczywiście, jedna przygotowywałaby lepiej, druga gorzej. Cóż, pole otwarte dla zdrowej konkurencji, inicjatywy, pomysłowości. Wybicia się, wręcz sławy, niektórych świetnie kształcących *college'ów*, szkół prywatnych?

Natomiast państwo niech utrzymuje *uniwersytety* dla niewielu – czyli elitarne studia wyższe. Ale tylko one miałyby prawo nadawania tradycyjnych tytułów: magistra, doktora, profesora? Jako krynicę czystego poznania i badania, refleksji, nauki, wreszcie bezinteresowności? Dla wybranych duchów? Poszukiwaczy Prawdy? Nawet gotowych cierpieć niedostatek w izdebce na poddaszu?

Jaka konkluzja? Wszystkie te (gorzkie) uwagi redukują się do trzech spraw: (a) studia zaoczne (wielogodzinne *zjazdy* wymęczonych całonocną pracą zawodową ludzi w weekend, raz lub dwa razy na miesiąc?) to, z rzadkimi wyjątkami, czysta fikcja, jeśli nie hochsztaplerstwo, właśnie taka oferta nauki *plywania bez wody*; (b) dyplom uznawany urzędowo (matura, magisterium, doktorat, habilitacja etc.) powinien być zarezerwowany dla uniwersytetów, a w każdym razie podlegać bezpośredniemu nadzorowi państwowych uniwersytetów; (c) *republika sempre reformanda* – Najjaśniejszą Rzeczpospolitą trzeba ustawicznie naprawiać, ale można to robić pod warunkiem, że *doskonałe pomysły* (reformy instytucji etc.) są realizowane przez ludzi o żywym poczuciu obywatelskiego obowiązku względem tzw. dobra wspólnego. Inaczej mówiąc: *nie ma republiki bez cnoty* (Montesquieu). Jeżeli życie publiczne toczy się w *szarej strefie* mafijnych przekrętów, to istotnie szanse naprawy są nikłe. *Quod erat demonstrandum* – cbdd.

JAN PROKOP